



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kanterach pism periodycznych, po cenie:
rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartal. rsr. 1 kop. 80.
miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedmieście Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartal. flor. 3, na prowincji z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D. K. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent 75; na prowincji
z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W W. Ks. Poznańskim: u M. Leitgebiera i Spół., kwartalnie tal. gr. 1.
sgr. 20.

O TEM I OWEM

PRZEZ

Anastazję Dzieduszycką.

I.

Nowe kierunki kobiety.

Smutne wieści dochodzą nas z Zurychu!

Wyższe zakłady naukowe tego miasta pierwsze w Europie przypuściły kobiety, na równi z mężczyznami do pobierania nauk i naraz przeszło sto uczennic skupiło się w tem mieście, lecz zamiast przykładać się do nauk, których tak spragnionemi się być zdały, większość oddała się lekkomyślnemu życiu, podobno mrzonkom smutnym komunistycznych rojeń.

Smutny to objaw. Gdy tyle się mówi i pisze o potrzebie wyższego wykształcenia kobiety, gdy kobieta zdaje się tak pożądaną nauki, te pierwsze które rzuciły się do tryskającego jej źródła, że o sobie sądzić każą. Czy owa chęć gorąca niby, posłużyła jednemu jako pozór dla pokrycia wybuchu złych skłonności, a drugie znalazłszy się nagle wytrącone z otoczenia, w którym żyły dotąd, nie umiały postawić się mocno na gruncie nowym dla nich?

Bluszcz już rozbiarał tę kwestję, pisząc o uniwersytecie kobiecym: Kollegium Vassar, fakt sam wraca przecież do myśli, ilekroć myśl ta rozbiara sobie trudności, jakie spotykać muszą kobietę na torach nowych i nieutartych. Szczęściem pańienek naszych była w Zurychu liczba bardzo nieznaczna, trzy o ile mi się zdaje i Bogu dzięki wszystkie pozostały woddziele tym, który nie utracił u ludzi dobrej sławy i nie zadał kłamu twierdzeniu: że kobieta może

uczować szczerze pragnienie nauki wyższej. W każdym razie, oby nam to pozostało przestroga, tak dla matek jak i córek!

Kto żąda praw człowieka, musi przyjąć na się jego obowiązki; kobiety jakkolwiek co do tych praw pod pewnemi względami upośledzone, niemniej męźnie dźwigały brzemię swych powinności. Szczęściły się nie przywilejami lecz poświęceniami—nie zaszczytami lecz ofiarami. Nie iść w zawody z mężczyznami pragnęły—lecz podnieść mężczyzn swych cnót przykładem. Teraz gdy nam otwierają pole bezpośredniego działania: nauki wyższej i pracy w zakresie szerszym, zadanie nasze trudniejsze o wiele. Aby pierwsze kroki w tym kierunku nie szły krzywo, aby między przodownikami nie było z jednej strony wielu ofiar, a z drugiej przykładów smutnych, trzeba nam postępować z powagą i rozmysłem wielkim.

Czerpmy naukę, ale wyciągając dłoń po nią, obliczmy się wpięć z siłami naszymi, czyśmy się przygotowały dostatecznie do jej takiego nabywania, aby gruntownem było, czy zatem nabytki nowe będą rzeczywistemi nabytkami, które dobrze do szlachetnego celu prowadzą? Każda budowa musi mieć podwaliny swoje i nowe zawody kobiece muszą znaleźć podstawy mocne w wyrobionym charakterze kobiety, jak to słusznie powiedział prelegent warszawski, mówiący o wyższym wykształceniu kobiety (Świętochowski). Przez charakter rozumieć nam trzeba wyrobienie duchowe, moralne; hart woli skierowanej szlachetnie, wiedzę pełną przeznaczeń naszych i samowiedzę istoty własnej — mówiąc ogólnie wiadomość celów dobrych i sił potrzebnych do ich osiągnięcia, oraz znajomość samej siebie, a znajomość nie zrozumią, nie powierzechny sąd o sobie i zdolnościach własnych. O! bo jeżeli mamy dla zdobycia okrucichów wiedzy, postradać to, co było bogactwem kobiecości cichej, rozerwać się moralnie i wzburzyć w sobie umiejętność życia rozsądnie praktycznego, to za drogę je opłacimy, a raczej ludzić się będziemy, żeśmy się posunęły na przód, gdy tylko będziemy się ruszać na miejscu, a raczej w tył cofać i szkodzić idei, której, nie używamy, ale nadużywamy w ten sposób.

Stanowisko przodowników zawsze trudne, takim jest jeszcze obecnie położenie kobiet bardziej od ogółu ukształconych, lub bardziej spragnionych nauki. Słusznie powiedziała pewna pisačka Niemka. „Przekleństwem rozumnych kobiet jest to, że mężczyźni w serca ich nie wierzą“. Jeżeli kobiety chcą tę wiarę obudzić, potrzeba aby po owocach ich, poznawano je. Potrzeba aby wiedza tych, które za nią gonią, nie tylko je sposobiła do pewnych wyłącznych zajęć ale uszlachetniała całą ich istotę, nadawała ich słowom i czynom cechę wyższości, wiodła do doskonalszego spełnienia obowiązków moralnego człowieka.

Tak, wiedza powinna prowadzić do doskonalszego życia czynu, czynu czy w rodzinie, czy w społeczeństwie, choćby najciaśniejszem i najskromniejszym było kółko przez los nam dane. Godzi się przypominać to często nam kobietom, ponieważ wśród szlachetnych prądów myśli, które teraz w społeczności kobiet pracują, są i fałszywe rzeczy pojmowania, które w porywie kurczom nowym, lekceważą dawne, dawne obowiązki i prace, jako pospolite i z wyższością umysłową niezgodne. Ztąd to powstaje u mnóstwa kobiet przekonanie, że dla ukształconej potrzeba koniecznie jakiejs manifestacji na zewnątrz. Ztąd u mężczyzn pewna nieufność do kobiet ukształconych, pewna bojaźń, by dla mrzonek nie poświęciły obowiązków—ztąd u kobiet może się wyrodzić z czasem zbyt gorące pragnienie liczenia się do grona kobiet znanych rozgłosnie — a w następstwie istotne zaniedbanie najgruntowniejszych, a cichych, spokojnie spełnianych czynności i obowiązków.

Pragniemy dla kobiet wiedzy wyższej, przez wzgląd na ich szczęście i dobro społeczeństwa. Człowiek tem jest szczęśliwszy, im bardziej wszystkie władze jego są rozwinięte, społeczeństwo zaś im większe równowaga panuje między jego materyalnym, umysłowym i moralnym rozwojem. Dawniej gdy przewaga jednego z tych pierwiastków do potworności dochodząc, rozprzęgało społeczeństwo jakie, inny lud nadeiagał od nieznanego końca świata i zajmował jego miejsce, albo z nim się miesząc, ożywia obumierający ten organizm, brał odeń skarby

wiedzy, a przejawy je swym duchem, dalej oświata snuł wątek.

Dzisiaj kiedy skończyły się już emigracje ludów, społeczeństwa które pragną żyć samoistnie z siebie i w sobie muszą zrobić nowe siły, same wyleczyć się ze swych niemocy, same wstąpić na prostsze i lepsze drogi. Sądziłyśmy i sądzimy jeszcze, że kobieta oświecona mogłaby wielki w tym dziele wziąć udział. Lecz chcąc się do takiego przyczynić posłannictwa, należy się przejąć tem kapłaństwem.

Pierwiastek duchowy, idealny dziś upośledzony, w jego obronie, pod jego sztandarem godzi się z natury rzeczy stanąć kobiecie, lecz najpierw świecąc przykładem — słowo będące w sprzeczności z czynem, pada bezsilne na serca. — To powinno być założenie główne każdej szlachetnej duszy kobiecej, a dopiero następnie musi wybierać sobie prace do położenia jej życia zastosowane. Nim przecież pospieszyć kobieta na pole pracy nowej, trzeba jej nie zostawiać odlogów po za sobą, trzeba działać nie leniwie w kierunku, który stoi otworem a zawiera przestrzenie niezmiernie. Zostawiając na stronie pracę dla zarobku, czyli ekonomiczną stronę kwestyi, spojrzmy na pracę kobiecą ze strony jej moralnej, społecznej.

Bez wątpienia niczem kobiety nasze tak się nie zasługują społeczeństwu, jak rozbudzeniem życia rodzinnego i towarzyskiego. Ukształcenie prawdziwe, dając im poważny na życie pogląd, odkrywając im związek między moralną wartością społeczeństwa a ich losem, zapewniając ich życie zajęciami szlachetnymi, uzdalniając je do spełnienia obowiązków, ułatwia im to zadanie.

Dopóki rodzinom naszym nie będzie przewodniczyć podniesiona w moralnym znaczeniu swem matka, a uszanowanie dzieci nie przetrwa lat dziecinnych, rodzice zaś nie przestaną być dla dorosłych przewodnikami i wzorami szlachetnymi, które cenić i szanować muszą; dopóki trwać będzie u mężczyzn niewiara w stałość charakteru kobiecego; dopóki pierwsza trudność w życiu małżonków, choćby znudzenie tylko, będzie dla kobiety pozorem do zapomnienia swych obowiązków; dopóki dzisiejsze życie towarzyskie oparte na lekkomyślności nie przybierze cech podnioslejszych; dopóki tak jak dzisiaj kobieta będzie ubiegać się wśród rozrywek tego życia jedynie o powab rusałki i godność królowania przez berto mody, pragnąc rozgłosu przed którym ich prababki by drżały, dopóty nie uwierzę w ukształcenie niewiast naszych. Dopóty nie przestanę twierdzić że działają na wpływem próżności i fałszywej miłości własnej, a nie ze szlachetnych pobudek, wzniosłym umysłem właściwych!

Kobieta ukształcona, zaczawszy dzieło odrodzenia duchowego i moralnego od siebie, wiodąc je dalej w rodzinie i życiu towarzyskim, uwieńczy je niejako, gdy kwiat swych zdolności szlachetnych odda dopiero społeczeństwu na drodze wpływów innych, gdy jako autorka, czy artystka pięknu i prawdzie hołdować będzie! W miarę, jak wiedza większej liczby kobiet zostanie udziałem, większa ich liczba uczuje prawdziwe autorskie powołanie. Pragnienie gorące przelania w ogół swych przekonań, wypowiedzenia w obec świata całego uczuć wrzących w ich duszy, prawd oświecających im życia i zawiłości wiedzy. I te niech trwają na raz obranej drodze — niech trwają chociaż lata przyniosą im przekonanie, że ich usiłowania są tem w wirze świata, czem krople rosy wśród fal Oceanu; im — które zaczynały z wiarą że ich gorące słowa świat poruszą i przeistoczą. Słowa ich choć nie będą działać jak piorunki gromu, jak wstrząśnienia wulkanu, ale sprostują żądania, wzniosą pojęcia, oświecą, umocnią, działając tak cicho i stale jak krople wody toczące skały.

Dawniej kobietom piszącym, chciano wyznaczyć przedmioty pracy, ograniczyć je do pewnych piśmiennictwa gałęzi. Było to niestudzne roszczenie, czyżby miało być równie takim wskazaniem kobietom naszym kierunku ich prac umysłowych i niebezpieczeństw, jakich się w tym zawodzie ustrzedz mogą? Nie — bez wątpienia, gdyż społeczeństwo każde żąda tego od wszelkiej osobistości ludzkiej, która się chce do nauczycielstwa ludzkości podnosić, aby nie siała nauki fałszywej, aby słowo, które jest nauczycielstwa tego narzędziem, nie zostało przez nią nadużyte w dążeniach za pewnym prądem chwili, nie pytając czy ten prąd nie jest zgubnym, a chwytając go się jedynie dla tego, że nowy, więc pewnej partii poplecniectwo dający. Mamy więc prawo głosu

i upomnienia, aby pisarki nasze wyrobiły sobie jasne pojęcie o obowiązkach kobiety piszącej.

Dobro i piękno wzięwszy sobie szczerze w serce, jako jedyną prawdę życia ustrzegają się one od pragnienia lichego oklasku, hołdowania smakowi i prądom chwili, ustrzegają się zarazem od rzemieślnictwa w sztuce, które wyciska piętno poziomości i znikomości na większości tegoczesnych pódów pióra.

Pragnienie sławy, jedno z najpiękniejszych uczuć człowieka, toć bodziec potężny, gdy człowieka wznosi po nad ludzką słabość i do wszelkich wiedzy czynów. Sława pisarska, ta która trwa stulecia, przekracza narodowości granice, nowe idee rzuca jako drogokazy ludzkości, budzi w niej duchowe pragnienia, jest udziałem rzadkich jednostek, często tych właśnie które o nią niedbały, nie spodziewały się jej względów: które pisały bo nie mogły nie pisać — jak matka w chwili rozstania się z ukochanym dzieckiem nie może niewypowiedzieć mu swej miłości i tęsknoty.

Ale jakież to sławy pragniemy, gdy dla niej poświęcamy nasze obowiązki rzeczywiste, byle dogodzić próżności, która nas od cichego pełnienia ich odrywa, aby potem co było? Gdzie jest brak talentu, lub co gorzej talent nie dojrzały jeszcze przez myśl gruntowną, przez gruntowne zasady i przekonania, co razem nazwać trzeba moralnym i intelektualnym wyrobieniem, co następuje przy nieogłędnym pochwyleniu pióra? Oto brak kierunku stałego, oto falowanie szkodliwe, a w końcu rzucanie zużycych zdań i obrazów, których doniosłości może nie znamy, a to dla rozgłosu i szumu, aby słyszyć nasze imię powtarzane i wspominać! Nie sławy to, nie pocziwey sławy pragniemy wtedy, ale oklasku chwilowego, wziętości w kółku pewnym, łechcącey miłość własną i próżność — a temi nie zadowolni się dusza wyższa i nie dla nich pracować będzie, ale dla spełnienia swego posłannictwa, dla zużytkowania zdolności — dla powitania kiedys śmierci ze spokojem sumienia, że się pracowało dla drugich wedle sił swoich.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GWIAZDY SĄ PIĘKNE JEDYNE.

Gdy ziemia blaski odbija słoneczne,
W siedem barw tęczy światło się rozłoży,
Przez to co zgodne, i przez to co sprzeczne,
Mnóstwo piękności się tworzy.

Ale w wieczoru spokojnej godzinie,
Gdy odbić złudne znikają kolory,
Duch, na tęsknotę ku błękitom chory
Woła, że gwiazdy piękne są jedynie!

Gdy przecież piękność ziemi mu nie starczy,
W piersi nie może budzić już zapału,
Niechaj się głuchym smutkiem nie obarczy,
Ale rozwinie lot do ideału!

I drogą mleczną, co przez eter pała,
Do gwiazd piękności niech leci skrzydlaty:
Będzie mu cicha sfer muzyka grała,
Będą mu nowe rozbliskiwać światy.

A kiedy wstąpi w strefę ich świetlaną,
Gdy w ich jasności skąpie się promiennie,
Odnajdzie gwiazdę, na własność mu daną:
Gwiazdę poezji — piękną nieodmiennie!

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPOŁECZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

Przybycie podróżnych naszych do Zarnicy prędko doszło do wiadomości mudira. Obecność Anglika zaniepokoiła go. Anglicy umysłem tureckim przedstawiają się zawsze w charakterze oficjalnym, w czym jest trochę racji, z powodu kontroli, jakiej ze strony publiczności podlega każdy urzędnik angielski, tak że każdy syn Albionu, jeżeli sam urzędnikiem nie jest, to jest urzędnika kontrolerem, noszącym z tego względu charakter pół oficjalny. Więc się mudir nie omylił więcej jak przez pół i zaniepokoił się.

— Co za licho — myślał sobie — przyniosło tego Ingiliza?

Z tematu tego snuł domysły w nieskończoność idące i już się decydować zaczął na bliższe zbadanie rzeczy, kiedy stawił się przed nim Kir-Michałaki *tiutiundzi*, z którym zabraliśmy znajomość w musafirlyku starego Szumlańskiego. Wszedł, zrzucił obowiązkowo koło proga, usiadł na dywanie obok mudira i po siedziawszy chwilę w milczeniu, pozdrowił go salame emetykalnym. Raszyd effendi na pozdrowienie odpowiedział, i po chwili zapytał zwyczajem tureckim:

— *E, ne war, ne jok* (co jest, czego nie ma)?

Kir-Michałaki ramionami ścisnął.

— Jest jakiś *chaber* (wiadomość)?

— Jest. Przyjechał zięć starego Szumlańskiego.

— Sam?

— Z małżonką....

— I więcej nikt?

— I Anglik....

— Anglik — powtórzył mudir. Uhm. Cóż to za jeden? nie wiesz?

— Wiem — odpowiedział Grek tonem przez pół tajemniczym.

— E? — zapytał Turek.

— Turysta.

— Turysta — pokręcił mudir głową. Hm? To urząd....

— Wysoki — podchwycił *tiutiundzi*. Widziałem turystę jednego, kiedy jeździłem lat temu trzy do Stambułu... miał przy sobie taką księgę, do której wszystko zaciągał. Co tylko zobaczył, wnet i do księgi zapisał. Co tylko usłyszał, wnet i do księgi zapisał.

— Na co?

— No.... na co.... Jużci na to, żeby.... o....

Resztę dokończył giestem, którym się wyraził w ten sposób, że oko jedno przymroził, palcem w powietrzu zakreślił i do góry go podniósł, wykrzywiwszy przy tem usta i wstrząsnawszy głową.

Niemą tę odpowiedź zrozumiał snadź mudir, zamyslił się bowiem i po chwili zapytał:

— Cóż więc?

— A cóż! Widocznie Anglia raję w opiekę bierze....

— *Pezewenklar* — mruknął Turek przez zęby.

— Z tem wszystkiem trzeba go....

Tu znów do mimiki się uciekł. Przechylił głowę i dłonią jedną z drugiej niby proch zcierał.

— Rzecz wiadoma — odezwał się Turek tonem aprobaacyi.

— Bo to turysta....

— *Ewet* (tak)....

— Zapisze... a wiadomo, że co się zapisze, tego bawołami, chociażbyś ich dziesięć zaprzągnął, nie wyciągniesz....

— Widziałeś go? — podchwycił mudir.

— Widziałem.... Przychodził wprost od Szumlańskiego, u którego on w musafirlyku na dywanie siedzi....

— E?...

— Hm.... *Arslangibi* (do lwa podobny). Człek ogromny, nogi jak u słonia, ręce niby łopaty, ramiona takie, iżby mógł wielbłąda z pakunkiem udźwignąć, pysk jak słońce a oczy... ul... Ja niewidziałem oczu straszniejszych.

— Mówiłeś z nim?

— Mówiłem... no... to jest... jam mówił do niego, a on słuchał.

Mudir głową pokręcił, cmokając, zamyślił się na chwilę, kilkakrotnie przez nos „hm“ puścił, parę razy brwiami mrugnął, fez przesunął z prawej strony na lewą i następnie z lewej na prawą i rzekł to-nem zapytania:

— A gdybym ja poszedł do niego?

— Ty, *effendim* nie pójść nie możesz, gdybyś bowiem nie poszedł, toż dopiero lichabyś sobie napytał... On by zapisał, że był w Zarnicy i mudira nie widział. O!... Zapisałby to a obok tego i to co jemu raja bułgarska już nagadała i jeszcze nagada.

Mudir głową mocniej pokręcił i głośniejszemu cmoknął. Znow się zamyślił i westchnął.

— A przyjechał tam z nim—ciągnął *tiutiundzi*—zięć starego Szumlańskiego, istny Frenk, który, mówi jak kto zechce, tak i owak... tak ma język wyprawny!... Mówi taką mową, że ja sam go nie rozumiem....

— Hm — mruknął *effendim*. Przecież rozmówić się z nim można?

— Można... boć to raja, Bulgar, z *Filibe* (Filipoli) rodem....

— Co więc powiadasz, że on mówi i tak i owak!...

— Wyczyli się snadź pomiędzy Niemcami i Frenkami... powiada, że jest *hekim-baszi*.

Mudir uśmiechnął się głową w tył rzucił, jak czynić zwykły człowiek niedowierzający wiadomości usłyszanej.

— Zaprawdę — ciągnął Grek — tak powiada, a ja nie wiem czy to prawda czy nie. Powtarzam, co słyszałem.

Mudir słuchał z wyrazem zapytania w oczach, co zmuszało Greka ciągnąć sprawozdanie swoje dalej:

— Widziałem, jak przez miasto przejeżdżali. Szły za nimi haraby, a w harabach paki.

— A w pakach?—zagadnął Turek.

Tiutiundzi ramionami ścisnął.

— O — odezwał się mudir po chwili namysłu. Gdyby on był w rzeczy samej *hekim-baszi*, to pak by ze sobą nie przywoził. Baba Musa wszystkie lekarstwa swoje w jednej małej zmieściłby skrzynce. O... W tem coś jest...

— Prawda twoja, *effendim*— rzekł Grek, popierając słowa gestem, oznaczającym domyslność.

— Trzebaby i starego Szumlańskiego i zięcia jego mieć na oku.

Tiutiundzi skinał głową w sposób, który powiadał: nie troszcz się o to, biorę rzecz tę na siebie.

— Otóż to Bulgary... ehm! ruszać się poczynają, jak te żaby, co to widząc, że konie kują i swoje też nogi wyciągają.

Greka do śmiechu pobudziło porównanie, znamienujące, że Turek posiadał dowcip, okraszony wiadomościami.

— Chciało by im się... hm... ehm—nie umiał wyrazić chcenia Bułgarów.

— Grekom chleb odebrać—podpowiedział *tiutiundzi*.

— Owo tak... i knowają, ci u Rosyji, ci na Wołoszy, ci w Niemczech... rozchodzą się po Francji i Anglii i wymyślają na padyszacha, który im nie winien, bo ich nigdy na oczy nie widział.

— Prawda twoja—potwierdził Grek.

— A stary Szumlański... o!...—tu mudir palec podniósł i pogroził.

— Syna jednego posłał do Odessy, drugiego do Bukaresztu, a córkę do jakiegoś Hindelbeka. Ona to teraz przyjechała z mężem i z turystą.

— O, widzisz. Nie dość, że się włóczą sami, ale jeszcze naprowadzają turystów. Cóż ona?

— Ona? oho *kokona*. Widziałem ją na mieście... Prowadziła się z mężem pod rękę, niby madama jaka.

— Trzeba ich mieć na oku.

Po zaleceniu tem nastąpiło chwilowe milczenie, które przerwał Grek, odzywając się głosem trochę nienaturalnym, jakby czuł sam niewłaściwość słów własnych.

— Bo to—odkrzyknął z przyciskiem. Stary Szum-

lański ma córkę jeszcze jedną... która—znów odchrząknął i zamilkł.

— Która... co?—zapytał mudir.

— Która jest Szumlańskiego... córką...

— Cóż więc?

—No... nie.

Westchnął.

— Nadobna, słyszałem.

— To jest... hm... nieczego sobie. Dziewojczyca młoda, w latach, w którychby i zamąż pora. Stary siedzi na parczkach.

— Czy mają kogo dla niej upatrzonego?..

— Nie wiem. Nie zdaje się jednak. A szkodaby dziewczynki, gdyby, jak starsza, za jakiego *hekim-basze* wyjść miała.

— Więc, bierz ją ty—podchwycił mudir.

Zdaje się, że cały ten epizod, dotyczący się siostry doktorowej, wprowadzony był na to tylko, ażeby do tej doprowadzić propozycję. Grek fez na głowie poprawił, podrapał się w łeb palcami, odchrząknął i znów westchnął. Chciał on westchnieniem swemu nadać akcent sentymentalny; to mu się jednak nie udało, pomimo że oczy zawrócił, tak że białkami zaświecił. Westchnienie wyszło na ziewnięcie, po którym skrzywił się i głową pokiwał, chcąc przez to niby wyrazić rozbrat z nadzieją.

Mamy Greka tego w podejrzeniu, że kochał—dziewojkę? czy pariczkę? to mniejsza—dość, że go podejrzujemy mocno o miłość, która mu w sercu tkwiła, i dla tego też nie myślimy wcale okazów tej miłości na pośmiewisko wystawiać. Wyrażał ją jak umiał: westchnieniami i zawracaniem oczu. Westchnienia mu się nie wiodły; zawracanie oczu szło jakoś krzywo; nie to jednak nie stanowi; mógł *tiutiundzi* mieć modele kochanków niekoniecznie odpowiadające regułom estetyki, w zastosowaniu jej do miłości. Grecy w ogóle odbiegli od sławnych przodków swoich, osobiście zaś Grecy, pełniący funkcję spółników tureckich. Naprawdę wśród nich szukaliśmy Apollinów Endymionów, Orfeuszów i innych wedle których pozują kochankowie świata całego. *Tiutiundzi* nasz zapewne o nich ani zasłyszał nigdy. Zresztą—i przedkimiże to wynurzał się? Okoliczność ta na uwagę i uwzględnienie zasługuje. Wzdychał i oczy zwracał nie pod urokiem pięknych oczów dziewczyny ale w obec mudira, który, wątpić należy, ażeby się znać miał na objawach kochania.

— Bierz ją—powtórzył urzędnik turecki.

— *Effendim*... to łatwo powiedzieć.

— E?

— Ja bym ją wziął... ale... hm—tu się w łeb po-drapał.

— Cóż? Czyż jest tobie co do zarzucenia? Żony nie masz... pariczkę masz... jesteś jeszcze młody i juna-k... Oczy masz jak cebule.

— Prawda... tak... i gdyby to nie była sprawa z Bułgarem i to z takim jeszcze Bułgarem jak stary Szumlański, toby mnie o to głowa *hycz* nie zabolala. Ale przed dziewczynką stoi stary, stoi stara, stoi brat jeden, drugi... ten był w Odessie, ten w Bukareszcie. Ja Grek, oni na mnie patrzą jak na psa i w dodatku przyłączył się do nich przybysz jakiś, przyjechała kokona, przypłatał się Anglik.

Mudir zamyślił się i milczał. Widać po nim było że medytował. W końcu rękę wyciągnął i kiwając nią skinięciem uspokojenie znamienującem, rzekł:

— *Zarar yok*. Miej ty tylko ich na oku i dowiedz się co tam w pakach. O resztę się nie troszcz. Kto wie, czy dziewczynka nie spadnie ci w ręce, jak jabłko z gałęzi mocno wstrząśniętej. Trzeba starego wstrząsnać. Rozumiesz? O... Ja zaś tymczasem ubiorę się i do tego Ingiliza pójde.

— O! idź, *effendim*... bo to turysta.

Wyraz ostatni wymówiony był przez Greka z przyciskiem znaczącym, jakby dostojęństwo turysty stawało na równi z godnością ambasadora, pełnomocnika jednego z wielkich mocarstw, komissarza nadzwyczajnego albo też urzędnika do szczególnych poruczeń przynajmniej. Wiadomość ta niech nas nie dziwi. Nigdzie tyle bałamutnych nie krąży wyobrażeń, jak wśród ludów podległych berłu padyszacha. Zdarzenia polityczne, ściągające na grunt wschodni działalność zawsze sprzeczną honorów rozmaitych, wprowadziły do głów mnóstwo pojęć oderwanych, mnóstwo wiadomości zbijających jedna drugą, mnóstwo wyrażen z przekreślonem znaczeniem. Byłem świadkiem honorów, oddawanych niby jakiemu księciu udzielnemu, korespondentowi jednej z gazet angielskich.

Sam odbierałem hołdy dla tytułu inżyniera, który się wydał Bułgarom dostojęństwem niesłychanie wysokim — żegnali się i pokłony bili. Nie dziw przeto, że wyraz „turysta“, przywiązany do osoby mister Williama Wayton, zaimponował mieszkańcom Zarnicy. Mudir wziął go na seryo i przedstawił się Anglikowi w całym majestacie i z całą powagą męża dzierzącego władzę dyskrecyjną, z całą uniżonością człowieka, lękającego się o skórę własną. Turcy wycywilizowali się do tyła, że umiejają łączyć powagę z uniżonością. Jestto w rodzaju swoim sztuka, przejęta przez ludzi od płazów, które zarazem i nadymają się i czołgają. Mudir odwiedził Anglika raz, odwiedził go następnie po raz drugi i trzeci i czwarty. Inni urzędnicy poszli za jego przykładem i pośpieszali z czołobitnością. Musafirlyk starego Szumlańskiego był ustawicznie zajęty przez gości, którzy starali się wielkie Anglikowi okazać atencje i z którymi mister Wayton porozumiewał się jak—przepraszam za porównanie—gęś z prosięciem.

Boć, i jakże porozumieć się mogli! Mister Wayton nie umiał po turecku, urzędnicy zaś tureccy nie władali żadnym z języków używanych na zachodzie. Mudir rozumiał trochę po ormiańsku; kady mówił nieco po bułgarsku; *bimbashi*, który wespół z angielskimi i francuskimi wojskami odbywał wojnę wschodnią; nauczył się dwóch wyrazów: *I say i dites done*, niewystarczających na to, ażeby po angielsku lub francuzku rozmowę prowadzić. Nudzili więc Anglika obecnością swoją, lub też, gdy doktor za dragomana służył, toczyli z nim rozmowy nie tylko interesu, ale nawet sensu pozbawione, co pochodziło ztąd, że każdemu powiedzeniu swemu usiłowali nadać znaczenie głębokie.

— Powiedz ty jeszcze—mówił naprzykład mudir—że pszenica nie na to się sieje, żeby ją kąkol zagłuszył.

Doktor powtórzył to po angielsku dosłownie i powtórzył po turecku odpowiedź, jaką Anglik dał a którą w jednym zamknął wyrazie:

— Niezawodnie.

— Czy on rozumie, com ja powiedział?—zapytał mudir.

— Rozumie, przetłumaczyłem mu od słowa do słowa.

— Wie on, co to pszenica?

... Doktor przetłumaczył zapytanie, Turek poparł je pełnym tajemniczości wyrazem, jaki nadał spojrzeniu, które na Anglika zwrócił.

— Wiem przecie—odparł zapytany.

— Wie on, co to kąkol?

Nowe tłumaczenie, nowe pełne tajemniczości spojrzenie i nowa Anglika odpowiedź:

— Wiem przecie.

— *Maszala*—rzekł Turek, oczy zamykając i głowę poważnie kiwając. Powiedźże jeszcze, że ja go proszę, ażeby sobie zapamiętał, że co pszenica to pszenica, a co kąkol to kąkol!

Nie trudno domyślić się, że mudir używał języka figurowanego; pszenica oznaczała Turków, a kąkol wyobrażał Bułgarów. Domyślił się tego i doktor i Anglik; ten ostatni rzekł z uśmiechem:

— Ci panowie dobre jednak mają o sobie wyobrażenie.

— Co on powiada?

Doktor przetłumaczył wiernie uwagę Anglika, modyfikując tylko akcent nieco; mudirowi wielce się ona podobała.

Takie i tym podobne rozmowy nie mogły być zajmującymi. Mister Wayton nudził się setnie w towarzystwie przedstawicieli i agentów władzy państwowej; nudził się i bez nich, na całą bowiem Zarnicę dwoje tylko znajdowało się ludzi, będących w możności porozumiewać się z nim. Ludzie ci zaś, czyż mogli go nie odstępować? Jeszczeż, co się doktora dotyczy, ten, jak się zdawało, więcej nie miał czasu do poświęcenia gościowi. Doktorowa jednak, przybyła i przepadała. Mister Wayton napróżno oglądał się za nią. Nie pokazała się ani pierwszego, ani drugiego dnia. Na trzeci dzień wyszła i Anglik, ujrzawszy ją nie mógł powściągnąć okrzyku zadziwiewienia.

— Pani!... co pani!...

Powodem zadziwienia było to, że doktorowa przebrała się w strój narodowy. Okrzyk wywołał na usta jej uśmiech. Rzekła:

— Dziwi to pana?

— Zaprawdę. Przypuszczałem u pani więcej... więcej....

— Czego?...

— Chociażby... odwagi—odrzekł Anglik z przyskaniem.

— Zuchwałstwa. powiedz pan raczej... przywiązanego do rzeczy bardzo błahę, do stroju, którymby się wśród moich spółziemianek wyróżniała, jakby na to ażeby je, najprzód dziwić, a następnie, może do uznawania go za rzecz najważniejszą zniewolić.

Anglik nie na to nie odpowiedział. Zdaje się, uznał rację przez doktorową podaną za słuszną i odskakując od przedmiotu potrąconego, zapytał:

— Czemuż się pani przedemną chowasz?

W głowie mister Waytona czuć się dawało lekkie drżenie.

— Ja się nie chowam—odrzekła doktorowa.

— Przez trzy dni nie mogłem z panią dwóch zamienić wyrazów.... Przecież gościem jestem.

— Gościnność praktykuje się w różnych miejscach rozmaicie. Muszę stosować się do zwyczajów miejscowych.

— A niech-że je!—zawołał Anglik półzartobliwie; i wpadając nagle z tonu żartobliwego w jakiś smętny, dodał: Obiecywałem sobie, pełną duszą poić się urokiem... towarzystwa pani.

Wyrazy ostatnie brzmiały dziwnym akcentem.

Doktorowa lekko się zapłoniła, spuściła oczy i wnet je podnosząc, odrzekła:

— Masz pan towarzystwo doktora.

— Wysoko je cenię — podchwycił Anglik. Doktor szanuję, jestto jeden z najlepszych przyjaciół moich. Z tem wszystkiem, pojedę już... odjadę... tylko nie chcę, nie mogę, odjechać i zerwać z panią, z doktorem węzłów, jakie się pomiędzy nami nawiązały.... Pozostanę tak długo jeszcze, żeby ułożyć sobie program wędrówki mojej po świecie. Będę się włóczył do życia mego końca, a wy będziecie wiedzieli gdzie się znajduję w którym roku, w takim a w takim dniu. Będzie to dla mnie... zadowolenie... hm! tak... zadowolenie. Nie prawdaż?

Nie mógł ująć uwagi doktorowej pewien rodzaj rozdrażnienia, jakie biło z wyrazów Anglika.

— Panie, proszę mi wierzyć—odpowiedziała—radabym, żebyś pan z nami pozostał jak najdłużej.

— Chociażby na zawsze? — podchwycił mister Wayton z ironią.

Zaśmiał się i ręką machnął. Pomilczał przez chwilę i rzekł, czoło na dłoń spuszczaając:

— W oryginalnem w tej chwili znajduję się usposobieniu. Potrzebuję rozwinąć całą siłę woli, ażeby się powstrzymać od gadania głupstw. Ha!... Muszę od pani uciekać. Zabawię jeszcze dni trzy, cztery; ułożę tylko swój program, przepiszę go na dwie ręce, jedną kopię państwu zostawię, drugą ze sobą zabiorę... i... now *I'm in the world alone.*

IX.

Program i szkoła.

Nie bylibyśmy w stanie, chociażbyśmy jaknajśilniej pragnęli, rozrzuścić czytelnika opisem pożegnania, które nie w sobie rozrzucając nie miało. Osobliwość cała polegała na tem, że mister Wayton pogwałcił zwyczaj krajowy, opuszczając progi gościnne domu starego Szumlańskiego, nie pozwolił bowiem, ażeby niewiasty ręce mu ucałowały. Naprawdę Stojan chciał go gwałtem niemal do tego zmusić—za rękę go ujął i dłoń jego starej Szumlańskiej do ust zbliżył. Anglik szarpnął się, wydarł Stojanowi rękę, kiwnął obecnym głową, rzekł „good by“ i wsiał do haraby, która go w świat powiozła. Dokąd? U doktora był spis wszystkich miejsc, w których mister Wayton przebywać zamierzał, obrachowany na lat trzydzieści naprzód a ułożony w sposób taki, że Zarnica służyła za punkt środkowy, około którego odbywać się miało krążenie tego syna Albionu w odległości promienia, ściągającego najdalej do Jerozolimy i zakreślającego koła dośrodkowe. Wyglądało to na dziwactwo iście angielskie, że aż doktor, rzuciwszy okiem na program, uśmiechnął się i zapytał:

— Dla czegoż lat trzydzieści?

— Bo dłużej żyć nie będę.

— A gdybyś żył?

— Niepodobieństwo.

Wyraz ten tak brzmiał pewnością, jakby mister Wayton zawarł z życiem kontrakt, opatrzony w warunki nie do przełamania, jakby tak być musiało.

— I nie zmienisz programu twego?

— Ani na jotę. Dodam tylko ustnie, że z każdego miejsca pobytu mego będzie mnie ciągnęło do Zarnicy, czemuż się ja będę z sił całych opierał.

— I oprzesz się?

— Nie wiem. Człowiek jest istotą tak słabą!... Zastrzegam sobie przytem wypadki nadzwyczajne.

Doktor w milczeniu dłoń mu uściśnął. W chwilę później nastąpiło pożegnanie nierzeczne. Anglik odjechał, nie oglądając się i nie widząc doktorowej, która okiem harabę odprowadzała, póki ta na zakręcie ulicy nie znikła, co zresztą było rzeczą absolutnie niemożliwą, albowiem doktorowa patrzyła przez okno gęsto drewnianymi kratami zasłonięte. Obok niej wyglądała siostra jej młodsza, Elenka. Doktorowej pojawiły się łzy w oczach. Poniosła do oczu chustkę.

— Płaczesz, Maryco?—zapytała dziewczę.

— Żal mi się zrobiło.

— Za nim?

— Za nim. Dobry znajomy i przyjaciel, człowiek szorstki ale bardzo szlachetny.... Piękna dusza!

„Piękna dusza“, powtórzyła sobie dziewczyna po cichu ze zdziwieniem niejakiem, jakby uderzona rodzajem piękna, które jej znanem nie było. Pojęcie to pierwszy raz w myśl jej zapadło, jak w ziemię zapada ziarno, na to, ażeby plon wydać. Dziewczyna przylgnęła twarzą do zakratowanego okna; chciała raz jeszcze rzucić okiem na wóz, w którym znajdował się człowiek z piękną duszą; haraby widać nie było; odwróciła się i westchnęła.

Zakarbujemy sobie westchnienie to w pamięci. Może się nam ono na co, w dalszem opowiadaniu niniejszego ciągu, przyda.

Odjazd Anglika stał się niejako hasłem zmian w domu starego Szumlańskiego, zmian, które nastąpiły w skutek narady familijnej, odbytej naprędce a wysnutej z zapytania, jakie rzuciła doktorowa:

— Jakżeby to urządzić?

„To“—co? Czytelnik nie wie o co chodzi, rodzi na jednak Szumlańskich wiedziała, albowiem najpierwszy z odpowiedzią wystąpił Stojan, mówiąc.

— Nie łatwiejszego. Pójdę po Bulgarach od domu do domu i powiem każdemu: Ojciec pozdrawia i prosi o parczki na zbudowanie szkoły dla chłopców i dla dziewcząt. Ten da grosz, ów dwa, zbierze się suma i za nią postawi się szkoła bułgarska.

— Hm—odezwał się stary i głową pokiwał.

— Co, ojciec?

— Łatwo się mówi, ale....

— Nie zbierze się suma potrzebna?

— Możeby się i zebrała ale... czyż to my już nie próbowali? Na szkołę trzeba mieć pozwolenie, o które prosić należy mudira najprzód, kajmakana następnie, a w końcu paszy w Ruszczuku. Prosiłiśmy trzy razy, wszak wiesz.

— Wiem—podechwycił Stojan—i za każdym razem przyszła odpowiedź odmowna.

— Z jakiej racji?—zapytała doktorowa.

— Z tej, że szkoła jest niby... i jest ona w rzeczy samej, przy cerkwi, ale w niej niczego nie uczą.

— Po grecku?—wtrącił doktor.

— El! gdzie tam!... Ani po grecku, ani po nijkie. Jest szkoła dla oka, na to właśnie, ażeby nie dopuścić takiej, w której by czegoś i jakoś przecie uczono... chociażby po grecku... Ale... ot... prosiłiśmy trzy razy.

— To właśnie źle — odparł Stojan. Nie prosić a zrobić i koniec.

— Można by to—odezwał się Aleksander—gdyby na nas, Bulgarów, Grecy nie patrzyli. Zrób tak, żeby Grecy poślepli, a będziemy mogli postawić szkołę na środku *czarszui*...

Starzec skinieniem głowy synowi potakiwał.

— Grecy nam tu brudzą, zawadzają, nogi podstawiają, licho wie dlaczego...

Doktor, który mógłby dać fenomenowi tego tłumaczenie, chrząknął tylko razy parę przez nos i milczał.

— Z Turkami—ciągnął Aleksander—możnaby do ładu trafić, gdyby nie oni, chrześcijanie niby...

Stojan przekonany był argumentami podanymi przez ojca i brata starszego i nie wyrwał się z projektem żadnym: jedyny bowiem, który mu się po głowie snuł, zbijał się sam przez się. Miał na

myśli założenie szkoły za Dunajem, w Dżurdzewie lub też w Braille, pod skrzydłem niepodległości rumuńskiej. Szkoła jednak taka dostępnaby była jedynie dla zamożniejszych; tu zaś chodziło o to, żeby naukę uprzystępnąć wszystkim, mianowicie uboższym, którzy nie mają za co za granicami kraju jej szukać. Przytem i pomiędzy zamożniejszymi znajdowali się tacy, co by dzieci posyłać do szkoły, gdyby szkoła była pod ręką. Szumlańscy stanowili wyjątek. W Zarnicy znalazł się jeden tylko. Innych zadowalniał lada *grammatyk*, który za kikanasie groszy uczył trochę czytać, trochę pisać, nieco rachunków i pozostawiał resztę własnej uczniów ochocie i własnemu ich staraniu. Byli i tacy, co utrzymywali, że nauka jest rzeczą zupełnie niepotrzebną, a to dla tego, że ojcowie ich, dziadowie, pradziadowie nie umieli czytać ani pisać a przecie parczki mieli i dobrze im się działo. Szkoła przeto potrzebną była w miejscu, jako poleta dla jednych, jako pomoc dla drugich, za granicą straciłaby ten podwójny charakter. Stojan w łeb się drapał, wyrażając twarzą frasunek.

— Aleksander — powiadał — pojechał do Odessy i wyuczył się wszystkiego, ja pojechałem do Bukaresztu i wyuczyłem się więcej jak potrzeba, Maryca pojechała do Manheimu i czegoś się tam ona wyuczyć musiała, Manufaki był w Heidelbergu i... ot... coś on tam umie. Mógłby tak zrobić każdy, ale nie zrobi. Trzeba im koniecznie szkołę pod samym postawie nosem.

— I nauczycieli sprowadzić—dodał Aleksander.

— I!... — odparł Stojan. Jabym się uczyć podjął.

Ofiarność ta, w której sama jeno chęć dobra na uznanie zasługiwała, wywołała uśmiech na usta doktorowej.

— Czyżby się nie można z Grekami ułożyć? — odezwał się doktor.

Stary uśmiechnął się, westchnął i głową pokiwał....

— Sprobować...

— Probowaliśmy...

— Cóż?... stawiali Grecy trudności?...

— Nie sami tylko Grecy....

— I Turcy?...

— Ach! i nasi—westchnął starzec. Nie sposób było do ładu trafić. Ten tak, ten owak; inny znów dziś mówi inaczej, jutro inaczej. Prawda, że Grecy chcieli, żebyśmy im się zdali na łaskę i niełaskę, powiadał, że nie mamy o nauce pojęcia.

Mieli oni rację, z tym tylko dodatkiem, że zarzut ten sam możnaby i do nich zastosować. Mieli się za mędrszych od Bulgarów, a nie byli nimi w istocie rzeczy, górowali jeno nad nimi ideą wyższości, którą bezwiednie w spadku po praojcach swoich otrzymali. Grecy niegdyś panowali na półwyspie Bałkańskim. Było to dawno, bardzo dawno; wieków pięć z górą od czasu onego upłynęło; pozostała jednak tradycja, ciemnościami owiana. Potomkowie do tradycji tej stosowali zachowywanie się swoje, ulegając tym co byli silniejsi i wynosząc się nad tych, którzy się przysięgnie dawali. Tradycje często podobne wytwarzają sytuacje. Grecy, wrogowie Turków naturalni i posuwający w Grecji miłość ojczyzny do heroizmu, w Bulgarii stali się najwierniejszymi i najpewniejszymi zdobywców sprzymierzeńcami. Fenomen ten tłumaczy się łacono potęgą tradycji, nierozjaśnionej wiedzy. Ciemnota usprawiedliwia Greków poniekąd, z drugiej jednak strony, położenie biednych Bulgarów tem trudniejszym czyni, dając im w tych, którzyby ich sprzymierzeńcami naturalnymi być powinni, wrogów tradycyjnych.

O nauce w Zarnicy, Bulgarzy i Grecy rozprawiali, jak ślepi o kolorach. Ci wiedzieli o niej bardzo mało, ci jeszcze mniej. Ztąd do porozumienia przyjsie nie mogło, zwłaszcza od czasu, jak władza turecka, wiaższy oświatę pod opiekę swoją, nałożyła na nauczanie formalny interdykt. Opieka oficjalna wprowadziła bałamuctwo. Turcy, sami ciemni, podjęli się światło szerzyć i oświatą kierować, to więc tylko sprawili, że nauczanie wystąpiło w charakterze oficjalnym, oddanym pod nadzór i podległym kontroli, sprawowanej przez ludzi nie mających w tej materii pojęcia najmniejszego. Wystąpiła sztykana. Była to woda na młyn grecki. Przybyła im jedna racja i jedna okazyja więcej do wynoszenia się nad Bulgarów. Śród tych rozbudziło się poczucie potrzeby oświaty; tamci przeto postawili się względem nich jako szafarze wiedzy, sami jedni zdolni wyzwolić ją

z pod straży tureckiej, podawali warunki niemożliwe, wprowadzali zamęt i obracali w niwecz chęci najlepsze. Takim jest komentarz do słów powyżej przez starego Szumlańskiego wyrzeczonych.

Starzec westchnął i ręką machnął.

— Cóż więc—odezwał się doktor—czyżby sposobu nie było!

— Nie wiem— odrzekł starzec, ramionami ściskając. Stałem dzieci moje na naukę gdzie mogłem; starałem się i o dzieci nie moje i—dokończył gestem, oznaczającym niemożność.

W tej chwili doktorowa głos zabrała.

— Widziałam — rzekła — źródło Dunaju. Małe źródło, wytryska w ogrodzie, a co to za ogromna z niego dalej rzeka! Owóż trzeba, żebyśmy i my z oświatą zrobili tak, jak Stwórca z Dunajem. Otwórzmy źródło....

Doktor uśmiechnął się i radośnie głową wstrząsnął, jakby się domyślił do czego słowa te zmierzają. Ojciec i bracia zwrócili na nią spojrzenie pełne wyrazu zapytania.

— Założmy szkołę tu, w domu naszym bez hałasu, pocichutku, bez gadania z Grekami; bez proszenia Turków... bez wznoszenia budynków osobnych... tak robili Grecy, nie ci dzisiejsi, co Turkom za drogomanów służą, nie ci dawniejsi, co ojcom naszym oczy wyłupiali, ale najdawniejsi, którzy oświatę w ludzkości zaszczytli. Spytajcie się Manuśkiego (tu oczami na męża ukazała), on nam to lepiej aniżeli ja opowie.

— Jakże to było?—podechwycił Stojan.

— Nie było szkół, ale byli nauczyciele, zwani filozofami, ci nauczali po ogrodach, po ulicach, po domach własnych. Takim jest oświaty źródło.

— Otwórzmy je u siebie—dorzuciła doktorowa.

— Boga mil...—krzyknął Stojan, w czoło uderzając. Że też to mnie ta myśl do głowy nie przyszła! Mielibyśmy już w Zarnicy oświatę oddawna...

— Trzeba coś samemu umieć—wtrącił Aleksander.

— Cóż to! czyż nie umiem wszystkiego, czyż nie byłem lat trzy w Bukareszcie!

Aleksander ręką machnął. W machnięciu tem było coś takiego, co wszystkich do uśmiechów pobudziło a Stojanowi ubliżającym się wydało. Uważał za potrzebne ująć się za siebie.

— Uczyłem się, jak i owi filozofowie uczyć się musieli, boć i oni nauki sobie z palca nie wyssali, ale szukali jej po Bukaresztach.

— A byłże Bukareszt za czasów Sokratesa? — zapytał Aleksander zniechęca.

— Jakiego Sokratesa?—odparł Stojan, tracąc pewność siebie.

— Powinieneś wiedzieć, jakiego, kiedy wszystko umiesz i uczyć drugich się podejmujesz.

— Był—podechwycił skonfundowany słowami brata, szukając ratunku w odpowiedzi na chybił trafił.

— Nie było ani śladu. Otóż widzisz, jak to ty wszystko umiesz, lepiej więc pilnuj warsztatu a nauczanie zostaw tym co więcej umięją, niż ty i ja razem, chociaż uczyliśmy się, ty w Bukareszcie a ja w Odessie. Nie porywajmy się na rzecz nie naszą... Od tego Pan Bóg zesał nam Manuśkiego i Marycę.

Stojan głowę spuścił i zamilkł. Wstyd go ogarnął i jedyną pociechę znajdował w tem, że konfuzyja spotkała go w gronie rodziny. Odszczególnienie jednak szwagra i siostry, którzy się uczyli nie w Bukareszcie, nie zgadzała się z przekonaniem jego. Jemu się wydawało, że oświata najwyżej w Bukareszcie stoi. Nie wszczynął wszakże o to sporu. Dał się złapać na Sokratesa. Wolał więc milczeć, w tem przeświadczeniu, że samo milczenie jego będzie dostatecznym Aleksandra ukaraniem.

— Niechże sobie radzą sami — rzekł sobie w duchu.

Skrzyżował na piersiach ręce i zaciął zęby.

I zawiódł się. Rada zamknęła się wnet, stało się w sposób bardzo prosty. Stary Szumlański pogłaskał córkę po czoło, a zwracając mowę do niej i do zięcia, rzekł:

— Róbcie jak będziecie uważali najlepiej i niech wam Pan Bóg dopomaga.

Po tych słowach rodzina się rozeszła. Każde udało się do swego zajęcia; doktorstwo wzięli się do dzieła urzędnicy szkoły dla dziatwy zarnickiej w sposób taki, ażeby ani Grekom, ani Turkom nie dać powodu do przeszkadzania. Urządzali więc szkołę, unikając wszelkiej ostentacji, kryjąc się z nią nawet,

jak się kryją przedsiębiorcy gry hazardowej w krajach, w których takowa jest zabroniona.

Medycyna wystąpiła w postaci parawanu.

Doktor zaprowadził i urządził aptekę i począł leczyć. Apteka pomieściła się w zabudowaniach do wrót przylegających, po za nią zaś, w dwóch izbach obszernych, stały stoły i ławki, mogące się zsuwać i rozsuwać dowolnie. Na stołach pojawiły się globusy, kałamarze, linie, pióra, kajety. Ściany izb owych okryły półki z książkami, mapy i tablice czarne; po kątach poustawiano moździerze, tygle, kociołki, tłuczki i różne inne naczynia i narzędzia do preparowania leków używane. Izby te przeto podwójny przybrały charakter, a z tych jeden służył za maskę ochronną drugiemu. Ktoby powiedział, że to klasy, temu odpowiedzieć było można: nie to laboratorium apteczne; ktoby zaś widział u nich laboratorium, tego łatwo było przekonać, że są to klasy. Wchodziło się do nich przez aptekę, a były jeszcze wejścia dwa inne: od podwórza i od ogrodu.

Urządzenie apteki i szkoły nie zabrało czasu dużo. W przeciągu miesiąca jednego, wszystko stanęło w pogotowiu, dzięki spóldziałaniu rodziny całej, mianowicie jednak pomocy Stojana, który dzielnie i gorliwie przykładał ręki, nie zapominając obraży od Aleksandra doznanej. Pracował i myślał:

— Cóżby to być miało takiego, czegobym ja nie umiał? Czytać? czytam; pisać? piszę; rachować—rachuję. No i języki,—któregoż to nie posiadam?

Na dowód posiadania języków, brał doktorskie książki i czytał, to znaczy, wymawiał głoski uszykowane w wyrazach oddzielnych, bez najmniejszego względu na to, jak się one wymawiać powinny. Zapytywał tylko:

— Co to za książka?

— Francuzka.

— Dobrze, słuchajże więc. Przekonasz się, że ja coś umiem.

Nie potrzeba dodawać, co za straszna, z czytania podobnego, wypadała potworność. Stojan nie mógł tego pojąć, ażeby to być nie miało znajomością języków obcych. Nie mógł pojąć potrzeby rozumienia rzeczy czytanej.

— Czytasz przecie po bułgarsku — tłumaczył mu doktor raz pewnego.

— Czytam, tak samo jak i po francuzku, po niemiecku, po angielsku.

— Czy wiesz, co w bułgarskiej książce napisa-no?... —

— Czy wiem?... —

— Pisanie jestto mowa na papier przeniesiona. Jeżeli mowa ta jest dla ciebie zrozumiała, to i pisanie rozumiesz.

— Czy rozumiem.

Dla dokładnego rzeczy objaśnienia, dał mu doktor książkę jakąś bułgarską.

— Czytaj...

Stojan odczytał stronicę całą.

— Opowiedzże mi to samo...

— Opowiedzieć co? jak?

— To, co przeczytał.

— To, com przeczytał?

Pokazało się, że dla Stojana wszystko było jedno, czytać, czy to w rodowitym, czy też w jakim bądź obcym języku. Posiadał mechanizm wygłaszania głosek, nie troszcząc się bynajmniej o rozumienie sensu, nie pojmując nawet potrzeby onego. Należał on do rodzaju, dość pomiędzy Bułgarami powszechnego, łbów zaktuch, mających wadę jakąś w organizmie, skutkiem której książka wszelka była dla niego najrzeczywistszą „literą martwą.“ Ludzie z wadą podobną mniej lub więcej rozwiniętą, znajdują się nie tylko w Bułgarii. Niektórzy z takich... kończą nawet uniwersytety i zajmują katedry. Do rodzaju tego zaliczyć należy tych wszystkich, co nie umieją sobie nauki przyswoić, przyjmują ją mechanicznie, na skład w głowie, jak w magazynie; gdy zaś idzie o wydawanie takowej, czynią to również mechanicznie, zupełnie jak magazynierzy. A niechże się tam co, bron Boże! zaniewieruszy, lub miejsce zmieni, wówczas gubią się, ręce łamią, lamentują, o zamachy na uczoność procesa wytaczają. W sferze uczonoj wypadki podobne zdarzają się bardzo często: Stojanów znajduje się w niej więcej, jak się komu zdawać może.

Nasz Stojan do sfery uczonej nie należał, w tem znaczeniu, jakie się do tego powszechnie przywiązuje, to jest, nie posiadał ani rozgłosu, ani uznania;

miał się jednak za człowieka co wszystko umie i opinię tę o samym sobie tak dalece brał na seryo, że się naukowości oddawał. W wolnych od zajęć swoich rzemieślniczych chwilach, czytywał książki, francuzkie, angielskie, niemieckie, włoskie i inne wszelkie. Korzystał w tym względzie z biblioteki szwagra, zaopatrzonej szczególnie w dzieła lekarskie. O rodzaj mu bynajmniej nie chodziło. Brał dzieło, zaczynał od tytułu i przechodził je od deski do deski, zagłębiając się nieraz aż do zapuźnienia i nie rozumiejąc ani słowa. Odczytywał w ten sposób anatomię, fizyologię, terapię, historię, filozofię, uważnie, pilnie, gorliwie, zakładał kartki, znaczył stronicę i dziwił się że go brat rodzony za nieuka ma.

Pilność ta Stojana nie była bez pożytku. Oddziaływała ona na dziatwę, która się powoli gromadziła w izbach za apteką. Stojan służył za przykład, odgrywając tu niemal rolę, jaką po gołębnikach odgrywają gołębie wabcami. Wabił uczniów, a raczej, pomagał w tej mierze siostrze, która zrazu nie miała pracy nim się jej dało namówić rodziców do posyłania dzieci do szkoły. Chodziła po sąsiadach i prosiła, błagała:

— Dziecko nie nie robi. Ma próżnować, przyszlizcie je do mnie, ja je przytulę, popieszczę, zabawię i czegoś nauczę.

— Jednemu się nie chciało, drugi odkładał z dnia na dzień, innemu znów w głowie pomieścić nie mogło, ażeby niewiasta nauczyć czego miała. Była to jednak niewiasta uparta. Znów chodziła, namawiała i prosiła, aż sprowadziła sobie dziecko jedno, dalej drugie, za drugim trzeci, czwarte, piąte i zapełniła miejsca przy stole w izbie pierwszej. Chwila była dla niej chwilą tryumfu. Sprawiała dzieciom festyn, rozdała im łakocie, z którymi one do domów powróciły, opowiadając, że się bawiły.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Klemens Kantecki, Elżbieta, trzecia żona Jagiełły, Lwów 1874 r.

Dawnych to bardzo szczegółów z życia naszego dotyka w monografii swej p. Kantecki, i zajmuje się faktem niekoniecznie wielkiej doniosłości pod względem historycznym, ale ważnym na szali bezwzględnej sprawiedliwości. Nie przymawiamy mu bynajmniej, że w obronie kobiety podjął rękawicę rzuconą przez społeczeństwo jej i potomnych: jest to miły obowiązek historyka i człowieka. Zdawałoby się nam tylko zawiele zachodu i pisma w rzeczy która do tego ani materiału dostatecznego nie przedstawia, ani sama przez się żadnego fundamentu dziejowego nie stanowi. Zarzut ten wszelako znika w obec sposobu jakim p. Kantecki pracę swoją wykonał; nie jest to bowiem jakiś odosobniony proces między oskarżającymi i oskarżoną, ale polemika wciągająca w siebie wiele innych i to żywotnych momentów ówczesnego życia, tak, że kto z uwagą przeczyta rozprawę p. Kanteckiego, ten z pożytkiem zabawi czas jakiś w atmosferze tego dziejowego okresu i coś ztamtąd zbogacającego umysł wyniesie.

Rzeczywiście, sama naczelną postać obrazu jest poniekąd dla nas tajemniczą. Co nas obchodzi trzecia żona Jagiełły, którą ten pojął starcem już będąc i która żyła z nim wszystkiego lat dwa, a żadnego wpływu znaczącego na sprawę publiczną nie miała? Zapewne, że bardzo mało. To też ogół mało co wie o niej, i zaledwie obito się o jego uszy to, co natracając o niej nowsi kronikarze, a za niemi i dziejopisowie, idąc za Długoszem: że była intrygantką i wcale niesympatyczną figurą.

Taką to reputację zrobił Długosz Elżbiecie, Piłcekiej z domu, z męża Granowskiej, która owdowiawszy, chwilowo zasiadała na tronie polskim obok Władysława Jagiełły. Wynalazł on jej aż trzech, przed Jagiełłą, mężów; mienił ją starą i brzydką, czarom i intrygom przypisał urok rzucony przez nią na króla; pobyt jej na tronie uważał za jakieś nie-szczęście dla kraju: słowem, zrobił z niej fizycznego i moralnego potwora.

P. Kantecki zbija to wszystko, i przyznać trzeba, dosyć przekonywająco. Wykazuje nasamprzód, że niema żadnego dowodu na to, ażeby Elżbieta przed Granowskim miała jakiegobądź męża, a wnioskuje raczej, według ścisłej krytyki, z powodzeniem, że nie miała żadnego. Potrzeba jednak było tego faktu Długoszowi, ażeby tembardziej ohydzić nieboszczkę królową, przedstawiając, że się dostała za mąż Jagiellę już jako stara i niedołężna. Wprawdzie na poparcie kobiecych cnót Elżbiety, a raczej na odwrócenie od niej złośliwych insynuacji kronikarskich, p. Kantecki nie znajduje żadnego pozytywnego, materialnego dokumentu; lecz zwycięzko walcząc analogią i syllogizmem, mocno zachwiewa utarte o Elżbiecie zdania.

Co jednak mogło być powodem Długoszowi do takiej niesumienności dziejopiskarskiej? Otóż pytanie to mieści w sobie dopiero szereg faktów i spostrzeżeń, istnie pod względem historyczno-politycznym pouczających.

Losy Elżbiety są w blizkiem powinowactwie z losami późniejszej Barbary. Taż sama butna i oligarchiczna szlachta staje pomiędzy pierwszym i ostatnim z Jagiellonów, a ich małżonkami; taż sama szlachta wygraża panującemu w jego osobistych stosunkach, i cierniem wycięła mu drogę małżeństwa. — Już od śmierci Kazimierza Wielkiego i od obioru Ludwika, zaopatrzona przywilejem wybieralności monarchów, idzie tylko coraz dalej na tej drodze, drogo każąc opłacać sobie za ten nęcący blask korony, którą trzyma w swem ręku. Nie podobało się szlachcie ażeby równy jej głowę podnosił wyżej, a że stało się wbrew jej upodobaniu, przeto zemście swej nie wahała się poświęcić spokojność króla i cześć kobiety, zatruwając im rozmaitemi pogrozkami i impertynencyjami tak sam dzień ślubu jako i późniejszą koronację.

Ale cóż to skromnemu kanonikowi Krakowskiemu czynić namiętny wybór pomiędzy dwoma stronniectwami w tak delikatnej sprawie; dla czego strzelać mu tak upornie czczemi, nieuzasadnionemi paszkwylami w głowę bezbronnej kobiety; czemu raczej nie zachować mu się biernie, bezstronnie? Oto, Długosz jest echem rozkazodawcy kancelaryi królewskiej, niegdyś rycerza a potem biskupa, Zbigniewa Oleśnickiego, — tak jak był jego kreatura. A Zbigniew Oleśnicki, to wyraz szlachty, wzmocniony ówczesnym absolutyzmem duchownym.

Ciężka to była dola królewska mieć nad sobą takiego mentora. Jagiello, był to człowiek delikatny, dobroduszny, obcy wreszcie obyczajom kraju, w którym panował, nie umiejący ani czytać, ani pisać, ani nawet mówić porządnie. Cóż on mógł w obec Zbigniewa, który był silny, sprytny, obrotny a wymowny. Mógł wprawdzie coś, zapewne, — to jest pozwolić nieco pogospodarować w koronie rycerskiemu bratu Witoldowi w połączeniu ze szwagrem swym, ówczesnym księciem Mazowieckim, którzy obaj nie cierpieli samowoli panów radnych krakowskich; ale na to potrzeba było większej determinacji niż ta na jaką zdobyć się mógł słaby Jagiello: byłby to wreszcie zamach stanu, gra niebezpieczna, do której może i Witold nie najchętniej ręki by przyłożył. Kto wie nawet, kancelarya, stojąca za szlachtą, a złożona przeważnie z samych prafatów, gotowa była sprowadzić na głowę Władysława pioruny Rzymu, a wtedy oddaj się Bogu!

To też, jak to powiadają, serce się kraje, czytając te dzieje. Epoka to niby jedna z najświetniejszych, a tymczasem już widać w niej tyle przyszłego upadku zarodów. Król i szlachta, nie są to jakieś dwie izby konstytucyjne, na prawnym gruncie wzajem władzę swą modyfikujące ale i podpierające; lecz istnie dwa nieprzyjacielskie obozy, wydzierające sobie władzę omackiem, siłą lub podstępem: stan doprowadzający z konieczności do zamachów, a więc do rokoszów i konfederacji. — Cóż to mówić o okresie późniejszych Jagiellonów, którzy jako Wielecy Książęta, ciężar korony królewskiej okupywać musieli szkodliwymi ustępstwami z władzy najwyższej, kiedy już pierwszy z nich, tyranizowany, ba nawet jawnie oszukiwany, skutkiem niepiśmienności, przez kancelaryę, jest tylko cieniem królewskim, z którego przez brak równowagi w korporacjach politycznych, jaką w zachodniej Europie wyradzał stan średni, nigdy powstać nie mogło potężne ciało.

Mimo to wszystko, jeszczebyśmy nie rozumieli tej zaciętej nienawiści Zbigniewa Oleśnickiego i panów radnych przeciw królowej Elżbiecie, biednej nie-

wieście, która przecież nie przez się nie mogła przeciw meżom zbrojnym w miecze i pastorały, a przedtem żyła całkiem na ustroniu, żadnego nie stanowiąc ani wywołując stronnictwa. — Zbrodnia małżeństwa z królem, której się dopuściła, mogła wyrodzić chwilowe oburzenie w dbałem o równość szlachecką sercu panów koronnych, ale przeciągła nienawiść i przesładowanie nie miałyby jeszcze żadnej logicznej racy.

Otóż, autor niniejszej rozprawy stara się uzasadnić to, że Elżbieta uważana była przez kancelaryę królewską za pewien szandar polityczny wrogię tejże kancelaryi stronnictwa: — i nie bez powodu. Wysłała ona za mąż z poręki, że tak się wyrazimy, Aleksandry siostry Władysława Jagielly, ażony księcia Mazowieckiego Ziemowita, który, jak wiemy, samodziśnie panował na Mazowszu, w rodzaju lennika króla Polskiego. Była to zatem potęga, z którą rachować się musiała kancelarya królewska. Przyjaciółka znowu Elżbiety, księżna Aleksandra, niewiasta rozumna, nie była bez wpływu na męża i bez stosunków nawet z zagranicą, tak iż osobiście znosiła się z wielkim Mistrzem Krzyżackim; a nadto widoki jej polityczne godziły się z widokami Witolda, który również wcale nie był przyjacielem kancelaryi królewskiej, częstokroć łamiącej mu szyki. Otóż trzy te osoby stanowiły poniekąd stronnictwo przeciwne kancelaryi, która dotąd umiała się jemu opędać i w jej swem umyśle królewski utrzymywać: inna rzecz, gdyby Elżbieta, jako narzędzie tegoż stronnictwa, codziennym wpływem na męża starała się go silnie ku niemu przechylić, i otworzywszy mężowi oczy, skłonić do potrząśnienia więzami. Tego pewną była kancelarya, tego obawiała się najmocniej, i to właściwie było powodem: dla czego wszystkimi siłami starała się ohydzić królowę w oczach narodu, zapobiegając iżby ten w danym razie poparcia jej swego nie udzielił.

Nie sądzmy, ażeby zabiegi te miały na celu usunięcie jakimbyś kosztem przeszkody tamującej spełnienie przez ówczesnych mężów stanu jakichś rozległych widoków politycznych. Przeciwnie, polityka ówczesna była drzemająca, i nie mamy żadnego tak dalece znaczącego faktu sprowadzonego przez Oleśnickiego. Rzecz tu chodziła głównie o wewnętrzne sprawy: o nominacje na ważniejsze posterunki, o miejsca wpływowe a zyskowne. — Co zaś do polityki właściwej, to od tak nędznego epilogu jakim się zakończyła sprawa grynwaldzka, nic, jak powiadamy, godnego uwagi nie nastąpiło.

Przez ramiona osób wpływowych zaglądają wprawdzie do Polski nieustannie dwa złowrogie widma: to Mistrz Krzyżacki, to Cesarz. Ale kancelarya nie już nie uczyniła dla stanowczego zażegnania tych widm. Ze strony owszem zwyciężonego w r. 1410 Zakonu, widzimy pewien szereg, drobnych wprawdzie, upokorzeń zadanych zwycięzcy. Co do Cesarza Zygmunta, Oleśnicki ma niezaprzeczenie pewną zasługę w udaremnieniu rokowań tego monarchy z Witoldem, mających na celu rozszerzenie odstępu między koroną wielkksiążęcą a królewską; i pod tym względem nie możemy się zgodzić na zdanie p. Kanteckiego, choćby taką powagą jak Szajnocha, poparte. Jakąkolwiek słabość do zewnętrznych oznak i heraldycznych okazałości przypisalibyśmy wytwornemu Luksemburcykowi, niepodobna przypuścić, ażeby on tak sobie platonicznie podzegał Witolda do koronacji na Wielkiego księcia Litewskiego i formowania oddzielnego dworu. Cóż to za niewytłumaczona skłonność do cywilizowania tak dalekich barbarzyńców wedle całego rynsztunku form feudalnych, żeby cesarz Niemiecki, tyła sprawami zajęty w domu i za domem, tyle i tak gorliwych starań poświęcał dla podniesienia etykiety wśród litewskich borów. — Nie; i na ten nawet raz był to jakiś z odległym celem pierwszy pociąg na szachownicy, tylko udaremniony. — Była tam jakaś myśl ukryta w zdradzieckim umyśle Zygmunta, tylko że, jako nie mająca powodzenia, ukryta też pozostała.

Jeżeli jednak Oleśnicki ubił ją w samym zarodzie, trzymając Witolda raczej w charakterze namiestnika jak panującego, to z drugiej strony, on, jako dusza rady koronnej w Krakowie, bez porównania więcej zaszkodził i własnemu krajowi i całej sprawie dziejowego postępu, niwecząc zamiary Witolda mającego na celu uzbrojenie całej Europy wschodniej przeciwko cesarstwu Niemieckiemu, a później tamując mu drogę do tronu królewskiego w Czechach; wszyst-

ko, rozumie się, przez stosowne przedstawienie rzeczy Jagielle.

Rycerskiemu Witoldowi możeby się i przydała pomoc w działaniu na usposobienie króla, a w przeciwdziałaniu tyranii Oleśnickiego, ale to pewna, że jej znikąd nie otrzymał. Wpływ Aleksandry był słaby, nie możemy też powiedzieć, czy byłby dla kraju zbawienny. Cytuje p. Kantecki listy jej, z których przekonywamy się, że była bardzo za utrzymaniem pokoju z Zakonem, kiedy przeciwnie, kancelarya miała wciąż usposobienia więcej wojownicze, których jednak czynnie nie rozwinęła przy zdarzonej sposobności, już po r. 1410. — Jeżeli więc fałszywym był instynkt kobiety, to bardziej gorsząca była nieogledność i nieczynność kancelaryi: słowem, smutek i koniec.

Elżbieta w tem wszystkim nie mogła dać panom radnym wiele sposobności do rozdrażnień, gdyż niedługo nastąpiła jej śmierć poprzedzona długą chorobą. Oprócz gołosłownych potwarzy, nieprzyjaciele nie mogli przytoczyć żadnego dowodu, żadnego faktu nienawiści ich usprawiedliwiającego, i mogącego wskazać, że ona była istotnie tą plagą, jaka z dopuszczenia nieba spadła na króla i królestwo. Są, owszem, świadectwa przez samego króla objawione, że przyczyniła się do podniesienia uniwersytetu krakowskiego, — dowód, że była dobrych dla kraju usposobień. Dlaczego więc po śmierci nawet, ściagała ją nieusmierzona zaciętość kancelerza i kronikarza piszącego za jego natchnieniem, doprawdy odgadnąć trudno.

Autor rozprawy wskazuje nadzwyczajne ubóstwo źródeł przedmiotu tego dotyczących; zniknięcie nawet tych które były, a w innym świetle przedstawiać mogły osobę Elżbiety, przypisuje wpływom kancelaryi. Musimy się zgodzić na jego mniemanie, tembardziej że praca jego, obok przeważnej erudycji i gruntownej znajomości rzeczy, odznacza się wszędzie nader trafniemi indukcjami. Znać człowieka, który nie z przypadku, ale z powołania zwrócił się do historycznych zajęć.

Kazimierz Kaszewski.

RUCH MUZYCZNY.

Szkola czyli systematyczny wykład gry na fortepianie — przez Wincentego Kruzińskiego (Serya 1-sza).

Gramatyka muzyki — przez Napoleona Orde.

Wiadomo jak specjalnego uzdolnienia wymaga się od nauczyciela w ogóle. Jasność i systematyczność wykładu przy gruntownej znajomości wszelkich stron swego przedmiotu, obok niezbędnych przytem zalet cierpliwości i t. d. — to przymioty wymagające wielu studyów, nietylko nad samą nauką, ale i nad własnym charakterem. Nie śmiemy twierdzić, iżby nauczycielstwo muzyczne trudniejszym było od innych zawodów w pedagogice; wszakże jednym z trudniejszych śmiało nazwać się może. Widzimy tego przykłady codzienne, jak przy największym nawet uzdolnieniu artystycznym, można pod względem kierownictwa młodszych talentów popełniać błędy; i tu nawiasem wspomnieć znowu musimy, że Konserwatorium muzyczne dotąd nie wiele umiało wpłynąć na zapełnienie istniejących u nas braków.

Egzamina nauczycielskie dawniej nie odznaczały się w tym zakładzie zbytnią surowością; teraz lubo wymagania są ścisłejsze, lubo egzamin nauczycielski mianowicie pod względem znajomości harmonii, nie odbywa się już powierzchownie — wszakże zdaniem mojem, za mały nacisk w tych egzaminach czynionym jest na właściwe pedagogiczne zalety nauczyciela.

Ze znajomość harmonii w wyższej nauce fortepianu jest niezbędną, temu nikt nie zaprzeczy; również, jest rzeczą widoczną, żeby mózdz kształcić inne talenty, powinien uczący sam mieć talent wykształcony stosownymi mechanicznymi i duchowymi studjami — ale to jeszcze nie dosyć. Egzamin nauczycielski powinien odbywać się w ten sposób, aby egzaminujący byli przekonani, że osoba której udzielają patentu, potrafi w każdej okoliczności sobie poradzić,

każdy błąd sprostować, w każdym dziele i autorze, duchowe piękności i styl wykazać. Dlatego sądziłbym że egzamin powinien oprócz techniki i harmonii—wymagać jeszcze dania próbnej lekcji, przynajmniej dwugodzinnej. W lekcji tej zdający egzamin miałby sposobność wykazać swoje teorie: 1) o układzie i trzymani rąk, 2) o palcowaniu; 3) o następstwie ćwiczeń i o zasadach rozwijania mechanizmu palców, 4) o stylu, frazowaniu tak dawniejszej jak i nowszej muzyki, 5) nareszcie powinien wykazać swą zdolność w poprawianiu błędów, które w tym celu umyślnie mógłby robić egzaminujący, grający chwilo rolę ucznia.

Nauka samych początków—mogłaby nawet zdaniem moim od nauki wyższej o tyle być oddzieloną, iżby patenta podzielone były na klasy—nie zaś jak dziś jeden stopień wszystkim przysługiwał. Tu może mniej potrzebna jest znajomość harmonii, a tem mniej kontrapunktu — ale że już pominę podwójnie w tym razie przymioty charakteru—jakże ważną tu jest umiejętność dobrego postawienia głównych fundamentów. Ileż codziennych na to można przytoczyć przykładów! Ileż razy spotykamy talent, znacznie już nawet rozwinięty, któremu brak zdrowych na początku zasad tamuje drogę do właściwego rozwinięcia. Tu brak swobody w palcach, ówdzie nieznanostwo gamm, gdzieindziej znowu fałszywe trzymanie ręki są powodem, że długiej potrzeba pracy, nie żeby iść naprzód, ale aby złych się pozbyć nałogów!

Nie ulega wątpliwości, że w nauce początków ważną nader pomocą są *Szkoły na fortepian*, i o jednej z nich właśnie, nowo wydanej mówić dziś zamierzamy. Rozmaici autorowie, różnie też zadanie szkoły pojmowali — niektórzy, jak u nas Kurpiński, w szkole raczej dawali wskazówki nauczycielowi, niżeli spodziewali się, iżby uczeń sam potrafił sobie poradzić—inni z największą ścisłością i drobiazgowością wskazywali uczniowi co czynić ma, tak że czasem, na pozór przynajmniej, praca nauczyciela do dopilnowania tylko wskazanych przepisów ograniczoną być mogła—w każdym razie systematyczność i jasność głównym jest dobrej szkoły warunkiem, bo te zarówno i nauczyciela jak ucznia odrazu na właściwą prowadzą drogę.

Pierwsza część, czyli serya szkoły p. Kruzińskiego, wydana obecnie, obejmuje właściwie też same początki nauki, które podawały już u nas szkoły Kurpińskiego, Nowakowskiego, Zientarskiego, Sikorskiego. Zdawałoby się prawie, że obok wyżej wymienionych dzieł, nowa *Szkoła* jest zbyteczną, tak jednak nie jest.

Technika fortepianowa tak wielkie zrobiła w ostatnich czasach postępy, że szkoła może dziś podać nowe przy egzer cytowaniu się ułatwienia, nowe, szczególnie przy wyższej technice—sposoby przełamania trudności. O wyższej technice w wydanej pierwszej części oczywiście i mowy być nie może—lecz podane są ćwiczenia wyborne do jej przygotowania—teorii zaś układu ręki poświęcił p. Kruziński dłuższy od innych naszych autorów rozdział—szkoda tylko, że zdaniem moim, jeszcze nie dość obszerny i wykonany. Rozdział to ze wszystkich najważniejszy, powinienby zatem być opracowany z drobiazgową starannością i wsparty nietylko rysunkami (których u p. Kruzińskiego jest za mało), ale i przykładami, któreby objaśniły lepiej czasem niż słowa. Przykłady takie mogłyby dopiero może przekonać nas o użyteczności niektórych podawanych zasad. Naprzykład załujemy wielce, że szanowny autor nie objaśnił nam bliżej tak zwanej przez siebie *drugiej i czwartej formy trzymania ręki*, w których radzi, by staw napiętkowy był obwisły, to jest, jeśli dobrze zrozumiałem, by palce były wyżej niż osada ręki (poignet, handgelenk). Ten sposób wydaje mi się tak przeciwnym powszechnie używanemu, tak z tego powodu niedogodnym, że koniecznie potrzebowalibyśmy być o jego użyteczności przekonani dokładnym rysunkiem i kilkoma przykładami.

Podobnie teoria rozmaitych uderzeń w klawisze, wyjęta z dzieł Kuhlaka i Koehlera, powinna być koniecznie być jaśniej przedstawioną dla tych, którzy bez pomocy tamtych dzieł chcieliby utworzyć sobie dokładne o tem pojęcie. Różne gatunki staccata, szczególnie staccata ze stawu łokciowego, koniecznie przykładami wsparte być powinny, inaczej pozostają dla chcącego ze wskazówek korzystać nauczyciela, trudną do rozwiązania zagadką. Podo-

bień się rzecz ma i z legatem ze stawu napiętkowego, którego to uderzenia, mimo załączonego drzeworytu, niepodobna zrozumieć.

Ogólne zresztą zasady teoretyczne są wyłożone językiem jasnym i zrozumiałym w szkole p. Kruzińskiego; jednakże nie możemy wymagać, by się wyróżniały od szkół innych; natomiast częścią Szkoły niezmiernie użyteczną i nową w układzie są systematycznie ułożone ćwiczenia. Składają się one z siedmiu działów kolejno rozwijających uderzenie, siłę palców, swobodne posuwanie rąk, *staccato*, podkładanie palców, gammy i t. d. Systematyczność w tych ćwiczeniach jest wzorowa i są one w zastosowaniu do nauki początków bardzo pożyteczne.

Tą cokolwiek obszerniejszą wzmianką o szkole p. Kruzińskiego postarałem się usprawiedliwić ogólnikową pochwałę, jaką na początku stronicy umieściłem, i zachęcić czytelniczki Bluszcza do korzystania z tego dzieła, dla matek, szczególnie dla wsi, nader pożytecznego. Cena szkoły (wydanej nakładem autora) wynosi rub. srebr. dwa.

(Dokończenie nastąpi).

Z WIEDZY PRZYRODNICZEJ

Obrazy świata pierwotnego.

(Dalszy ciąg).

Wszelako nasza planeta stygła ciągle—częste deszcze oczyszczały jej atmosferę, a promienie słońca zaczęły dochodzić do powierzchni ziemi, tem samem wywierając wpływy dobroczynne na rozwój pierwszych tworów. — „Bez światła — powiada Lavoisier, — przyroda była martwą, Bóg opatrzny niosąc jej światło, rozlał na powierzchni ziemi organizację, myśl i uczucie”. W rzeczy samej, w temperaturze owoczesnej, odpowiadającej prawie tej, jaką znajdujemy dziś pod równikiem, mogły już rodzić się pierwsze jestestwa.

Czy rośliny pierwiej od zwierząt ukazały się na ziemi? Z porządku naturalnego wypada, że twory niższe poprzednikami są wyższych ustrojem, — rośliny zatem pierwiej się zapewne rozwinęły. Zresztą w utworze węglowym znajdujemy ogromne pokłady roślin, nieporównanie liczniejsze od szczątków zwierzęcego pochodzenia, co dowodzi, że pierwiej państwo flory zapanowało na ziemi.

Pierwsze twory zwierzęce zrodziły się w morzach — należą one do mięczaków z rzędu Ramionowców (Brachiopoda), i raków pancernych do których, zaliczamy Trylobity. Z roślin przejawiały się najpierw wodorosty. Gdy lądy rozszerzyły się więcej wystąpiły skrzypy i paprocie.

Odróżniamy trzy epoki w okresie przechodnim: *Syluryczną, Devonską i Węglową*.

Nomenklatura, czyli język naukowy, zwłaszcza też w geologii, nie zawsze odznacza się trafnością. Nazwa naprzykład pierwszej epoki okresu przechodniego, nadana została przez naturalistę Murchisona na tej podstawie, że warstwy wyformowane z osadów morskich, z tej epoki pochodzące, rozpościerały się bardzo szeroko w Shropshire w Anglii, to jest, w miejscowości zamieszkiwanej niegdyś przez *Sylurów*, dzielny lud celtycki, który walczył bohatercko z zaborcami armiami Rzymu. Zapewnie czytelniczki znajdą nazwę tę dziwną i nieodpowiednią, wszelako muszą poprzestać na niej, jako w nauce powszechnie przyjętą.

W epoce sylurycznej ziemię zalewały rozległe, lecz niewielkiej głębokości morza, w pośród których rozwijały się wodorosty, nawiedzane przez różnogatunkowe mięczaki i zwierzęta stawowate. Błade promienie słońca przedzierały się z trudnością przez ciężką atmosferę, obrzucając światłem jestestwa, często będące w stanie zarodkowym, lub cechujące się już dążnością do kształtów doskonalszych.

Epoka syluryczna, (pomijamy tu kambryjską, jako nie wiele zbadaną) rozdziela się na dwa peryody, to jest pokłady *dolnych i wierzchnich*.

W peryodzie warstw dolnych wystąpiły w morzach pierwsze rośliny i pierwsze zwierzęta. Z pomiędzy tych ostatnich rozrządzały się zwierzokrzewy i mięczaki. Z kręgowców jedno tylko ukazywały się ryby, wcale zresztą nie liczne, z raków pancernych: *homary, krewetki, kraby*, były najpospolitszymi. Postacie ich przedstawiały się osobliwie, gdyż całkiem różniły od gatunków dziś istniejących.

Trylobity zwykle miały kształt puklerza owalnego złożonego z szeregu stawów — z tych w najwięcej naprzód wysuniętym mieściły się oczy, zapewne siatkowate, jak to ma miejsce u owadów—przed oczyma wystawała gęba. Nogi były prawdopodobnie liczne, mięsiste, chociaż nie przechowały nam ich pokłady.

Niektóre gatunki tych trylobitów mogły toczyć się jak kula—pływały zaś zawsze na grzbiecie. Stworzenia te były jak widziemy bardzo osobliwe, żyły w morzach i na pobrzeżach w wielu licznych towarzystwach.

Z pomiędzy mięczaków istniał rodzaj bezgłowych pozbawionych prawie ruchu, zwany *Orthonota*—ze zwierzokrzewów wymienić winniśmy rodzaj *hemicosmites*. — Z roślin morskich krzewiły się *Buthrotophis, Palaeophicus, Sphenothallus*. — Pokłady dolnego syluru istnieją we Francji (Langwedocja około Nefiez i Bédarrieux), w Anglii, w Czechach, Hiszpanii, Rosyi i w Ameryce. Wapienie, piaskowce, łupki, wchodzą w ich skład mineralogiczny.

W morzach Syluru wierzchniego żyją już niektóre gatunki ryb, które w poprzednim peryodzie wcale się nie przejawiały, tudzież mnóstwo trylobitów w stanie doskonałego rozwoju, jakoto: *Calymene Blumenbachii, Phragmoceras*. — Z ramionowców (Brachiopoda) wymieniamy: *Pentamerus Knightii, Orthos rusticus*—z polipów: *Halysites labyrinthica*—ze skorupiaków odznaczały się: *Pterygotus bilobus* i *Eurypterus remipes*, kształtów dziwacznych. Znalezione je w Ameryce i w Anglii — prawdopodobnie zamieszkiwały wody słodkie. O rozwoju życia organicznego w morzach, daje nam pojęcie liczba przeszło 1500 gatunków roślinnych i zwierzęcych, należących do epoki sylurycznej.

Z roślin morskich znajdujemy niektóre gatunki wodorostów, a mianowicie morszczyzny czyli morzrosty skórzaste (Fucoidae).

Warstwy syluryczne znajdujemy we Francji, w departamentach la Manche, Calvados, Sarthe, w Anglii, Hiszpanii i Niemczech (brzegi Renu) w Czechach zwłaszcza też w okolicach Pragi, w Szwecji w której cała wyspa Gothland z nich jest wytworzona, wreszcie w Norwegii i Rosyi, tudzież w Ameryce około Nowego Yorku.

Ze wszech pokładów, syluryczne odznaczają się tem głównie, że są rozproszone, przedstawiają tu i owdzie płyty wydźwignięte niekiedy do znacznej wysokości, to poziome, to skośne, a nawet pionowe. Alecyd d'Orbigny w Andach Ameryki wykrył pokład syluryczny, zawierający mnóstwo szczątków kopalnych, wyniesiony na 17,000 stóp polskich prawie, nad poziom morza. Jakieżże to potrzeba było siły kolosalnej, do wyparcia tych warstw na tak wielką wysokość!

W epoce sylurycznej morza pokrywały prawie całą ziemię—większa część Europy zalana niemi była. Cały płat lądu ciągnący się od Hiszpanii do gór Uralskich, pozostawał pod wodą, z łona której wydźwignęły się tylko dwie wyspy wyformowane z granitu: Bretonia połączona z Wandea, i środkowe wielkie płaskowzgórze. Część północna Norwegii, Szwecji i Laponii Ruskiej, tworzyła ląd szeroki. W Ameryce północnej jedna wyspa rozciągała się od 50 do 68 stopnia szerokości, a mianowicie w części noszącej dziś nazwę Nowej Brytanii. Druga znowu wyspa, obejmowała brzegi Stanów Zjednoczonych na oceanie Spokojnym, rozpięta się od 32 do 52 stopnia szerokości, czyli zajmowała Kalifornię, Utah i Oregon. — W Ameryce południowej, Chili tworzyło podłużną wyspę na oceanie Spokojnym. — Na Atlantyku część Brazylii pomiędzy 10 a 30 stopniem szerokości, wznosiła się po nad wodami oceanu. — Wreszcie w okolicach równika, Guyana formowała ostatnią wysepkę na obszerem morzu zalewającym wszystkie inne części lądu. Polska w epoce sylurycznej kryła się w topielach morza. Formacje syluryczne znajdujemy dziś w księstwie Wales w Anglii, w Niemczech nad Renem, w Rosyi od Ładogi do Uralu, w górach Harcu, w Czechach, w Alpach Styryj-

skich, na Podolu nad Zbruczem. Łupek szarogłazowy sylurycznej epoki, tworzy góry pieprzowe około Sandomierza, ciągnie się od Bodzentyna do Nowej Słupi, w okolicach Klimontowa i Miedzianogóry.

W dziejach formowania się kuli ziemskiej, zajmuje z kolei szeroką kartę epoki, zwana *Dewońska*, od hrabstwa Devonshire w Anglii, w którym pokłady ziemne odnoszące się do tego okresu, są najrozleglejsze i najwyraziściej odznaczone.

W epoce sylurycznej widzieliśmy zaledwie pierwociny życia—wodorosty, zwierokrzewy i mięczaki, oto całe jej bogactwo, będące rzeczywiście ubóstwem. — W epokach następnych rozkwit zwierząt i roślin przejawia się coraz potężniejszym, rozmaitszym.

Zdajesz jakby przyroda próbowała swej siły tworzyć—zmieniała architekturę rozmaitych części, zastępując zwolna i stopniowo formy dawne, nowymi, okazalszemi i misterniejszemi.

Po zwierokrzewach i mięczakach występują pierwsze kręgowce: ryby, potem płazy, dalej ssaki i ptaki — wreszcie na arenie świata zjawia się król rzek zwierzęcych, przyszły mocarz ziemi, kapłan nauki, sztuki i poezji, myśliciel i artysta—człowiek.

Zwróćmy się jednak do zobrazowania Dewonu.

Rozległy ocean rozpościera się na powierzchni ziemi—tu i owdzie widnieją kilka wysepek. — Po pokładach pełzają mięczaki, tułają się zwierzęta stawowate. — Oto na brzegu widzisz rozciągnięte cielsko olbrzymiej ryby pancernej, a dalej wyspę pokrytą krzewami *Asterophyllites coronata*, pomieszaniem z roślinami prawie trawiastymi, podobnymi do mchu, chociaż prawdziwe mchy później się przejawiały.

Roślinność to jeszcze uboga—drzew w lasy rozrośłych brak całkiem—same tylko a stera filie wznoszą ku niebu swe łodygi wysmukłe i giętkie. — Błade światło słoneczne, przedzierając się przez atmosferę wpół przezroczystą, nie mogło oddziaływać na rozwój życia. — Pod wpływem też jego przyćmionych promieni, rozrastała się jedynie licha tkanka komórkowa najprostszych roślin. — Skrytopłciowe, o których nasze grzyby mogą nam dawać pewne wyobrażenie, stanowiły większą część tej roślinności pierwotnej.

Z powodu miękkości i małej spójności tkanki, wreszcie braku włókien, szczątki tej flory nie doszły do naszych czasów.

Wytorny krzew *Asterophyllites coronata*, dziś znikły z powierzchni ziemi, należał do działu roślin *dicotyledonowych* (*Dicotyledoneae*), obejmującej obecnie drzewa szyszkowe (*Coniferae*) i sagowce (*Cycadeae*).

Iglicowe liście *Asterofilów*, rozchodziły się promienisto od środka, na gałązkach baldaszkowych.

Na wodach dewońskich rozrastały się morskazyny (*Fucioideae*), webły czyli trawa morska (*zostera*) i *Psilophyton*. — Rzućmy okiem na faunę tej epoki.

W pierwszym jej rzędzie pomieścić wypada ryby, różniące się wielce ustrojem od gatunków dzisiejszych, opatrzone bowiem były rodzajem pancerza ztąd też powstała nazwa ryb *kostołuskich* (*Ganoidei*), to jest pancernych. — Posiadamy liczne okazy *Pterychtys cornutus*, ryby dziwacznych kształtów. — Ciało jej przyodziwiała tarcza z kilku części złożona, dwie płetwy w kształcie skrzydeł, mieściły się z boków głowy bardzo małe.

Obok tej ryby wymienić winniśmy *Coccosteus* i *Cephalaspis*, z których *Pterychtys* była całkiem opancerzoną—*Coccosteus* posiadała tylko tarczę w połowie wierzchniej ciała, *Cephalaspis* miała pancerz jedynie w przedniej części swego ustroju. Inne ryby zamiast pancerza opatrzone były łuskami bardzo małymi, otaczającymi całe ich ciało. — Takimi były: *Acanthodes*, *Climacodus* i *Diplacanthus*.

Poprzedzać muszę często w tym szkicu na wskazaniu terminów łacińskich, gdyż nazw polskich po większej części dotąd nie posiadamy.

Oprócz tego znajdujemy w tej epoce zwierzęta robakowate *Rurówki pierścieniowate* (*Annelides tubicoles*), opatrzone zewnątrz pokrywami skorupiatemi.

Jestestwa te przejawiają się w Dewonie poraz pierwszy — reprezentantem ich, typowym jest *Rurówka* (*Serpula*).

Trylobity wreszcie są bardzo liczne, równie jak mięczaki, a zwłaszcza *Ramionowce*, które w t-j epoce można powiedzieć, głównie panują na ziemi. Do ciekawszych gatunków należą: olbrzymi *Strigoccephalus Burtini*, *Davidsonia Verneuli*, *Uncites gryphus*, *Caliceola sandalina*, mięczaki cechujące się dziwnym kształtami. — Przepyszne głowonogi istniały w epoce Dewońskiej. Z promieniaków odznaczały się przedziwnym rozwojem *krynoidy*, a mianowicie gatunek *Cupressocrinus crassus*. Przytwierdzone do ławie nurzających się w falach morza, enkryny z rozwartemi ustami, czyhały na zdobycz podobne do krzewów skamieniałych.

Z powodu osadzenia się ich w skałach, tudzież łatwości otwierania i zamykania ramion jak kielichy kwiatowe, nadają enkrynom niekiedy nazwę: *kwiatów kamiennych*.

Utwór dewoński składa się z łupków, piaskowców, margłów i zlepieńców czyli konglomeratów. — W Anglii znajdujemy piaskowiec czerwony i szarogłazy (obere-Grauwacke), często natrafiany w Niemczech. Formację dewońską napotykamy na północy, południu i zachodzie Francji, w Belgii, Niemczech, w Hiszpanii, Rosyi, w Ameryce. Pasma naszych Gór Świętokrzyskich, tudzież wzgórz między Chęcinami, Bodzentynem, Kielcami, Iwaniskami i Łagowem rozpostarte, należą do tegoż utworu. Drugi płat dewonu ciągnie się od Miedzianogóry przez Kielce do Porębki—trzeci od Psar i Bodzentyna do Czadkowa i Waśniowa.

Warstwy dewońskie obejmują w sobie najstarsze pokłady węgla, posługujące za materiał opałowy. — Do takich należy węgiel wydobywany z kopalń francuzkich, w departamentach Loire Inférieure, Maine-et-Loire, tudzież pochodzący z kopalń hiszpańskiej prowincji Asturyi.

Wypada nam tu objaśnić zjad pochodzą te masy węgla wapna, cechujące tak epokę syluryczną jak i dewońską?

W pierwotnych wiekach tworzenia się skorupy ziemskiej, rozdzierały ją wielokrotnie, masy mineralne wylające się z wnętrza ziemi. — Przez rozpadliny ztąd wytworzone wypływał roztopiony granit, wraz z wodami wrzącymi, które posiadały wroztworze dwuwęglan wapna, a niekiedy dwuwęglan magnezyi. — W ten sposób istne rzeki wapienia wylewały się na powierzchnię ziemi, z olbrzymiego zbiornika ukrytego w jej wnętrzu. — Ponieważ morze wówczas zapełniało prawie całą powierzchnię naszej planety, owe rzeki wody wrzącej osadzały w jego łożysku wapien w nich rozpuszczony. W ten to sposób, ocean pierwotny ogolcony ze związków wapiennych, nasycenym został solami wapna, poczynając od epoki sylurycznej. — Z tej też przyczyny, warstwy wytworzone w czasie późniejszym z osadów morza, przedstawiają takie mnóstwo węgla wapna. Osady tej soli jak zobaczymy później, w epoce jurasowej i kredowej wytworzą pokłady wapienne, do tysiąca stóp grubości mające.

Epokę następną nazywamy *węglową* z powodu olbrzymich zasobów węgla zawartego w jej warstwach.

Węgiel jest materią roślinną—szczątkiem drzew i krzewów, które żyły niegdyś w odległych od nas czasach. — Rośliny te zagrzebane pod olbrzymim pokładem skał, przechowały się do dni naszych, jakkolwiek znacznym uległy zmianom. — W rzeczy samej, zużyte ich włókna przekształtowały się pod wpływem rozkładu materij bituminicznych i żywicy.

Owoż ten węgiel zasilający w opał nasze zakłady fabryczne i przemysłowe, ogrzewający nasze pomieszkania, dostarczający nam światła gazowego, jest po prostu starożytną tkanką roślinną, składającą lasy, trawy i bagniska dawnego świata, o którym milczy chronologia.

Główną cechą epoki jaką mam odrysować, jest przepyszny rozwój roślinności, pokrywającej wów-

czas całą powierzchnię ziemi. — Z grubości pokładów węgla, wnosić możemy że epoka ta trwała dłużej od innych.

Atmosfera owoczesna charakteryzowała się prawdopodobnie, nadzwyczajnie wysokim stopniem ciepła i wilgotności. Gatunki roślin pobratymczych dzisiejszej flory, krzewiących się wtedy, rozrastają się obecnie tylko w krajach zwrotnikowych. Ogromne wymiary tych roślin kopalnych, dowodzą z drugiej strony przesylenia się atmosfery parą wodną. Ciepło i wilgoć przypisuje Livingstone, bogaty rozwój roślinności w środkowej Afryce. Temperatura wysoka panowała wówczas jednostajnie we wszech częściach kuli ziemskiej. Od okolic równikowych, do wyspy Melville na oceanie lodowatym północnym—od Spiebergu do środkowej Afryki, flora węglowa przedstawiała się zupełnie jednakową. — Znajdując też same okazy kopalne w Grenlandyi i w Gwinei, też same znikłe dziś gatunki roślinne, w równym stopniu rozwoju pod równikiem i w okolicach biegun północnego, przychodzimy konieczne do wniosku, że w tej odległej epoce temperatura ziemi była wszędzie jednostajną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ

PRZEZ

Leona Rogalskiego

Dzieło to obejmujące w 2 tomach (18 zeszytach)

Dzieje literatury polskiej do najnowszych czasów, wydawanem jest zeszytami obejmującymi 5 — 6 arkuszy w formacie duże 8-vo.

Zeszyty 1 i 2 są do nabycia.

Cena zeszytu kop. 30.

(przedpłata nie jest wymagana)

Co dni 15 ukazuje się zeszyt

Zeszytów będzie ośmnaście.

Dnia 15 października r. b. dzieło będzie w zupełności wydanem i sprzedaż zeszytowa ustanie.

Osoby z prowincyi nadsyłające należytość wprost do wydawcy, kosztów przesyłki nie ponoszą.

Dzieło to jest do nabycia w księgarni M. Glücksberga (wydawcy) przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w domu JW. hr. Krasińskiego Nr 411 (7 nowy) oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

M. Glücksberg

Księgarz-Wydawca.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch* oraz *Kamiennej Woli*.

TREŚĆ: O tam i owem, przez Anastazję Dzieduszycką. — Gwiazdy są piękne jedynie, (poezya). — Zarnica, (dalszy ciąg), powieść bułgarska spółczesna, przez Teod. Tom. Jeza. — Przegląd piśmienniczy, przez Kazimierza Kaszewskiego. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Z wiedzy przyrodniczej, przez Wincentego Niewiadomskiego.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20.

Дозволено Цензурою 5 (17) Февраля 1874 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.